[Warszawa], Niecała 22
22 listopada [1874]
Sobota

Szanowna Pani!

Odsyłam na żądanie listy panny Marii. Zdaje mi się, że było ich pięć, ale jeden – o ile sobie przypominam – pisany do Paryża zginął mi bezpowrotnie. Poszukam go jeszcze wszędzie i jeżeli tylko znajdę, nie omieszkam odesłać natychmiast, aby uspokoić obawy Sz[anownej] Pani o to, czy nie będę go czasem czytał i wyśmiewał w gronie kolegów. Siostry nie ukrywały przede mną tych obaw Pani, które, jakkolwiek obrażające, nie obraziły mnie, ale przejęły głębokim smutkiem na myśl, jak dalece brak zaufania i owe ciche, a niewyjaśnione nigdy ciepłym i serdecznym słowem nieporozumienia zapuściły korzenie w serce Sz[anownej] Pani. –

Co do mnie, zapewniam Sz[anowną] Panią, że nie tylko sam bym się nigdy podobnej winy względem p. Marii nie dopuścił, ale upomniałbym się zawsze i wszędzie, gdyby ktoś inny chciał w obecności mojej mówić o niej inaczej, jak z całym szacunkiem, na jaki zasługuje. Węzły, jakimi byliśmy połączeni, a które tak szorstko zostały przecięte, będą stanowić dla mnie na zawsze jedno z najmilszych i drogich wspomnień.

Kto głównie przyczynił się do rozerwania tych więzów, niechaj to bierze na sumienie, ja z ręką na sercu powiem tylko rzecz jedną, że gdyby nie pośrednictwo między mną a panną Marią, gdyby nie brak ufności i podejrzliwość, która kazała każde słowo moje komentować na radzie familijnej i każdemu nadawać jakieś figuryczne i alegoryczne, i przenośne znaczenie, o którym nieraz mi się ani śniło, gdyby nie owa nieszczęsna mania podnoszenia każdej drobnostki do ogromnych rozmiarów, słowem: gdyby mniej komentarzów, a więcej otwartości było w naszych stosunkach, wówczas – z ręką na sercu powtarzam – wszystko by się skończyło inaczej: weselej i szczęśliwiej.

Ja nie tłumaczę się Szanownej Pani, bo nigdy tego nie czynię – ale rzecz wyjaśniam i zdaje mi się, że już mówiąc o komentowaniu słów moich i nadawaniu im różnych znaczeń, wypowiedziałem jedną prawdę. Zdecydowaliście się Sz[anowni] Państwo zerwać ten związek, a jednak, gdybym Was zapytał, na mocy czego, na mocy jakich faktów uczyniliście to, niezawodnie trudno by było Sz[anownej] Pani odpowiedzieć. – Zrywa się z człowiekiem, na którego honorze odkryła się jakaś plama – czy macie Państwo fakt podobny? Zrywa się z człowiekiem, któremu dowiodą nieuczciwości – czy podejmujecie się i czy odważycie się (mówię do pana Kellera) mi jej dowodzić? – Dlaczegoż więc i na mocy jakich zarzutów

związek nasz został zerwany? –

Sz[anowna] Pani zarzuca mi chłód i brak przywiązania – to pierwszy zarzut. – Ale zechciej sobie Sz[anowna] Pani przypomnieć, czym już raz nie tłumaczył tego. Mam i ja wiele swoich kłopotów i zmartwień, i udręczenia, dlatego nie zawsze umiem być wesoły – bywam zmienny, bywam szorstki, bywam czasem zimny, bywam nieuważny, ale Szanowna Pani wiedziała o tym, bo jeszcze starając się o pannę Marię, byłem takim samym, nie innym, wiedzieliście więc Sz[anowni] Państwo, kogo bierzecie, nie ukrywałem się z moimi wadami. – Być może, że pomyśleliście, że przy takim usposobieniu nie zapewnię p. Marii szczęścia, ale w takim razie trzeba może było pomyśleć o tym wcześniej. –

Tak, Szanowna Pani! Nie mogłem, może nie umiałem, może nie chciałem być trubadurem, może słusznie zarzucaliście mi chłód, ale nie zmieniłem się, nie okazywałem innej twarzy przed, a innej po zaręczynach. A przy tym, co miałem w sercu, jakie były moje istotne uczucia, to ja sam jeden tylko wiedziałem. W każdym razie mogę zapewnić Sz[anowną] Panią, że nie ten najwięcej czuje, kto najwięcej okazuje – a często bywa przeciwnie. Zależy to od usposobienia, od charakteru i od doświadczeń życia, które nieraz tak nauczą ukrywać swoje prawdziwe uczucia, jak muszla ukrywa perły pod zimną i szpetną skorupą. – Ale trzeba było więcej otwartości, skoro się chciało więcej serca. Byłem chłodny, ale czyż w ostatnich czasach i ja nie doznawałem chłodu? Nie ze strony panny Marii, bo ta anielska istota nie działała samodzielnie – ale czyż nie doznawałem chłodu i niechętnego milczenia ze strony Szanownej Pani, nie wspominając już o panu Keller, któremu – przebacz Pani wyrażenia – brakło przez cały czas naszej znajomości odwagi do rozmówienia się ze mną oko w oko z otwartością godną ojca i mężczyzny.

Ach! Szanowna Pani! Gdybym był znalazł w Sz[anownej] Pani drugą matkę, która by w chwilach, kiedy opanowywał mnie pozorny chłód, zniechęcenie i rozdrażnienie, zamiast odpychać mnie niechętnym chłodem, zamiast komentować moje słowa, umiała mi otworzyć jasne i ciepłe macierzyńskie serce, umiała ze szlachetną otwartością wypytać i wytłumaczyć, nie byłoby się tak stało, jak się stało. – Ach, daruj Pani! Może moja to wina, nie umiałem sobie zasłużyć na takie uczucia! – Matka moja umiała i siostry umieją odkrywać we mnie pod zmienną powłoką i zewnętrzną postacią prawdziwą moją istotę, dlatego matka nie skarżyła się na mnie jako na syna – siostry mają mnie za dobrego brata. Otóż zaręczam i zaklinam się na wszystko, że i p. Maria nie skarżyłaby się na mnie jako na męża. Jej słodycz, dobroć i łagodność umiałyby mnie zawsze rozbroić. Wtedy tylko buntowała się we mnie dusza, gdym widział, że i ona udaje chłód, którego nie czuje, i zamyka się w sobie nie z własnej woli i inicjatywy, ale widząc, że starsi tak robią. –

Tak jest, Sz[anowna] Pani! Te nasze, tj. moje i p. Marii, chłody i wzajemne niby urazy były to tylko chmurki, zwykle chmurki, na niebie zakochanych, które między nami dwojgiem, między nami tylko powinny były zaczynać się i niknąć, ale nie być wnoszone na radę familijną, komentowane i do wielkości burzy podnoszone. O takie rzeczy pewno jeszcze od czasu, jak ludzie się żenią, nie rozeszła się żadna para narzeczonych, a przykład, jaki Sz[anowni] Państwo daliście, jest jedynym w swoim rodzaju. Po takich chmurkach między narzeczonymi następuje pogoda, ale wtedy, kiedy nikt trzeci nie pośredniczy między nimi.

A wszakże to tygodnia nie ma, jak czytaliśmy razem z panną Marią *Pawlinkę* Łuszczewskiego – czytaliśmy ją dłoń w dłoni, kochający się wzajemnie i szczęśliwi. – Była to chwila długa jak cały wieczór. A teraz pytam, dlaczego Sz[anowna] Pani nie brałaś takich chwil za miarę mego prawdziwego usposobienia i moich istotnych uczuć? Dlaczego nie sądziliście mnie z takich wieczorów i z takiego usposobienia, ale z chwil, w których przychodziłem zmęczony, zniechęcony i skołatany? Przywiedzie mi Sz[anowna] Pani moją powiastkę o Dalili. Dodałem: „W życiu rzecz inna; w życiu takie istoty ciche, łagodne są dobrymi matkami, żonami i mogą zapewnić szczęście, ale w sztuce, która ma swoje prawa, wyglądają jak kuchareczki, troskliwie gotujące kaszę dla chorego męża lub dzieci". Czyli że odróżniłem życie i sztukę. –

Nie winię panny Marii – wolę winić siebie. Może być, że anielskie jej serce zbyt żywo uczuło moje słowa i nie dostrzegło, że jest w nich zastrzeżenie, by ich nie brała do siebie. – Ta żywość uczucia dowodzi tylko z jednej strony jej dobroci, a z drugiej ogromu skarbu, jaki podobało się Sz[anownym] Państwu mi odebrać. – Ale na koniec, czemu Sz[anowna] Pani jako matka nie spytałaś otwarcie a serdecznie o znaczenie tych słów? Wszak tak miało być. Dziś miałem przyjść wieczorem – trzeba było zaczekać. Dlaczego p. Keller pisał, a nie miał odwagi rozmówić się ustnie? Zresztą nie z nim chciałem się rozmówić, ale z paniami, ale z Szanowną Panią, dla której – mimo jej egzaltacji, płynącej zresztą z szlachetnego źródła macierzyńskiej miłości – zawsze głęboki mam szacunek.

Dziś miałem przyjść. – Sprawy moje zaczęły iść lepiej, chciałem wyjaśnić wszystko – chciałem... Ale wreszcie, po co o tym mówić więcej! Ja Sz[anownej] Pani nie tłumaczę się, ale rzecz wyjaśniam.

O uczuciach moich dla p. Marii nie będę także mówił. Ja jeden wiem, jakie one są istotnie – ale mam do niej prośbę. Chciałbym od niej samej usłyszeć, że związek nasz się zrywa. Niech napisze – nie do mnie, ale do której z moich sióstr. – To jej nie skompromituje i nie będzie obawy, abym jej słowa wyśmiewał. Przykro mi, że odesłała mi te drobiazgi, jakie miała ode mnie. Ja bym najchętniej zatrzymał jaką drobnostkę od niej jako drogą pamiątkę. Listy jednak odsyłam, chcąc położyć koniec obawom. – Żegnam Sz[anowną] Panią!

Nie posądzam ani Sz[anownej] Pani, ani p. Marii o złą wolę. To, co się stało, stało się raczej z mojej winy, ale z winy, nie z woli. Pannie Marii ostatnie słowo życzeń, ostatnie słowo uczuć i pożegnania, skoro nie może być inaczej. – Pierścionek zgubiłem, dlatego nie mogę go natychmiast odesłać. Odeszlę za parę dni.

Na koniec oświadczam Sz[anownej] Pani, że do chwili, w której p. Maria sama nie napisze do której z sióstr moich, że zrywa, uważam się za związanego słowem, jak i dawniej; uważam ją jako od swego słowa niezwolnioną – wreszcie jak zwykle dotrzymać swego słowa gotów jestem.

Zostaję z uszanowaniem i czcią.

H. S.